

MALY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 14.

Bydgoszcz, niedziela 12 lipca 1908.

Rok I.

Błogosławieństwo Boże.

Niedaleko lasu chata stoi.
Nie chata, lepianka raczej.
Ściany z chrustu plecione, dach słomą
kryty, okieńka maleńkie.

Obok chaty szumi lipa cała wonna, cała
złota od kwiecia. Roje pszczoł brzęczą, miód
do ula znoszą.

Ubożuchno lecz chędogo. Ziemia świe-
żym tatarakiem potrząśnięta, z boku pod lipą,
stół płótnem przykryty.

Gody jakie będą tu sprawowali czy co ta-
kiego?

Będą gody. Gopsodarz chaty kmieć-Piast,
postrzyżyny swemu synowi sprawa. A po-
strzyżyny to była uroczystość wielka u daw-
nych Polaków pogan. Stary obyczaj kazał,
by do lat siedmiu chłopięcej głowy nie tknęły
nożyce.

Pozwalano włosom roznać jak chciały
i spadać na ramiona.

Dopiero w siódmy dzień urodzin chłopię-
cia, zbierali się krewni i przyjaciele ojcowscy,
dziecku obcinano włosy i nadawano imię.

Dnia więc tego, o którym opowiadałam
w piastowej chacie odbyć się miały postrzy-
żyny.

Siadł Piast na pniaku u progu, gości
wygląda.

A Rrzepicha żona jego tymczasem cią-
gle z komory coś na stół wynosi i narzeka
potrochu.

— Kołaczy mam nie wiele i sery tylko
dwa wycisnąć mogłam. Niestarczy dla gości.

Na to Piast rzecze spokojnie.
Wystarczy, wystarczy! Nie trosz się miła
żono.

— Mięsiwa ledwie na jedną misę nałó-
żyłam. Nie obdzielią się wszyscy. Wstyd nas
spotka.

— I obdzielią się i wstydu nie będzie.
Gość nie patrzy na poczęstunek, jeno na serce
gospodarza.

Mówił jeszcze Piast, gdy skrzypnęły wrota
i do zagrody weszli dwaj podróżni.

Szaty mieli ubogie, podarte, pyłem okryte,
twarze blade.

Zmęczeni jesteśmy i głodni, pozwól spo-
cząć w swej chacie gospodarzu miły.

Poskoczył Piast do podróżnych, przywi-
tał jak gości najmilszych, za stołem biesiadnym
usadził i na postrzyżyny zaprosił.

Przyjęli podróżni zaproszenie, a skoro na-
deszła chwila postrzyżyn i nad imieniem dla
chłopca radzono, oni rzekli:

— Nazwijcie go Ziemowitem.

Takie mu więc imię nadano.

Wesoło było dnia tego w ubogiej chacie
pod lasem.

Pod wieczór goście rozeszli się i Piast
siadł zmęczony na zwykłym miejscu u drzwi
chaty, podróżni zbliżyli się ku niemu.

— Żegnajcie nam gospodarzu miły, a za
to żeś z podróżnymi ostatni kęs chleba podzie-
lił, niech Bóg dobro twoje w czworonasób
pomnaża, niech jedno ziarno rzucone w ziemię,
sto ziarn ci daje.

Błogosławieństwo temu domowi.

Rzekli i wyciągnęli ręce.

Patrzy Piast, aliści obłok srebrny pod
stopy podróżnych podpywa, opylone szaty
stają się na nich jako len jasne i skrzydła
tryskają im z ramion.

Padł Piast twarzą ku ziemi, a gdy pod-
niósł oczy, aniołów białych już nie było.

Woń jeno cudna rozlała się w powietrzu
i het wysoko zabrzmiały jeszcze raz te słowa:
Błogosławieństwo temu domowi.

Bolesław Śmiały.

Długi i beczynny pobyt w Kijowie nie-
tylko zepsuł karność w wojsku, ale był nadto
powodem wielu nieszczęść w kraju. Żony ry-
cerzy, długo nie odbierając od mężów swych
wieści, łamały wierność małżeńską i nawet nie-
prawie zawierały związki.

Wiarołomstwo i ogólne skażenie obyczaj-
ów stało się wtenczas tak powszechnem, że
imię jedynej cnotliwej kobiety i wiernej mał-
żonki, Małgorzaty z Ziębocina, zapisała histo-
rya ku pamięci potomnych. Stałość jej, z jaką
odpierała natrętnych konkurentów, uważana
była za nadzwyczajną cnotę, za bohaterstwo!

Skoro wieść o ogólnem zepsuciu doszła do
Kijowa, rycerstwo zatrwożone porzuciło cho-
ragwie królewskie i spieszyło do kraju, do za-
gród domowych. Tam zastali nowych panów
i mężów. Stąd walki, najazdy zbrojne, nowe

zgorszenia, nowe starganie więźłów rodzinnych.

Wtedy naród cały zwrócił się do króla z ciężkim, lecz słusznym zarzutem. On bowiem był sprawcą wszystkiego złego, on jeszcze dał zgorszenie, gdyż nie tylko nie zapobiegał złemu, ale własnem życiem gorszącem najgorszy dawał przykład.

W Kijowie tymczasem powstały krwawe rozruchy. Rusini oddalili Izaśława i zrzucili zwierzchnictwo Polski. Piękny ten kraj z wielkim trudem wcielony do Polski przez Bolesława Chrobrego, na razie był stracony.

Te niepowodzenia dopełniły miary win i błędów króla. Dopóki osobę jego otaczał blask wojennej sławy, dopóki dłoń jego dzierżyła oręż zwycięzki — wszystko mu naród wybacział, wszystko byłby puścił w niepamięć. Ale klęski wojenne w oczach narodu tak walecznego, miłującego sławę były czemś gorszem niż winy osobiste.

Te liczne nieszcześcia nie przywiodły jednakże króla do upamiętania i poprawy, przeciwnie, do coraz gwałtowniejszego pchały go okrucieństwa.

Wtedy świątobliwy biskup krakowski, Stanisław ze Szczepanowa, mąż wielkiej cnoty i głębokiej nauki, upominał króla łagodnie, lecz stanowczo, z całą powagą, jaką wówczas prawo nadawało biskupom.

Król, zapalony gniewem, że znalazł się ktoś krytykujący jego postęпки ostreimi słowy, zgromił biskupa, nie zmienił się nawet wten czas, gdy biskup, jako przedstawiciel Kościoła, rzucił klątwę na głowę przestępcy.*)

Bolesław uniesiony zapalczywością od tej chwili powziął straszliwy zamiar zamordowania biskupa.

A gdy żołnierze, którym pewnego dnia dał rozkaz zabicia świątobliwego kapłana, który właśnie odprawiał mszę św. w kaplicy na Skałce pod Krakowem, — grozą zdjęci nie śmieli podnieść ręki na pomazańca Bożego — król własnoręcznie mieczem tak silnie go uderzył w głowę, że biskup padł martwy na stopnie ołtarza. Rycerze ośmieleni przykładem króla porabiali na sztuki ciało męczennika.

Straszny czyn, niebywały w dziejach naszych! Król zbrodniarzem — i mordercą biskupa, ojciec narodu zawsze walczącego za wiarę.

*) W owych czasach Kościół używał niekiedy środków nader surowych dla ukarania zatwardziałych grzeszników. Najsurowszą z nich była klątwa tj. wykluczenie przestępcy z wszelkiej wspólności z Kościołem. Grzesznik obciążony klątwą w pokutniczej nędznej szacie musiał stać w przedsionku kościoła i nie wolno mu było być obecnym na mszy św.

Wakacye.

Miły i pożądany dzieciom czas wakacyi przeznaczony na odpoczynek i pokrzepienie zdrowia może i pod względem duchowym dużo przynieść korzyści.

Rozsądni i troskliwi rodzice starają się w taki sposób rozporządzić czasem wakacyjnym, aby dzieci obok rozrywek, zabawy na świeżem powietrzu, długich przechadzek i t. d. znalazły zawsze godzinę na poważniejsze zajęcia n. p. wyręczenie rodziców w domowych zajęciach lub czytanie książek polskich. Często rodzice się skarżą, że obok zadań szkolnych dzieci nie znajdują czasu na naukę ojczystego języka. Otóż wakacye dają najlepszą sposobność do tej nauki. Starsze dzieci mogą przeczytać powiastkę lub wierszyk i zaraz je napisać z pamięci, młodsze zaś odpisywać dla wprawy w polskim alfabecie, który teraz w niższych klasach został usunięty oczywiście z największą szkodą dla naszych dzieci.

Mogą też dzieci pod kierunkiem starszej osoby ćwiczyć się w śpiewaniu naszych pięknych pieśni religijnych i narodowych.

Gdyby tym sposobem dzieci nasze choć małą część wakacyi zużytkowały na naukę języka ojczystego, wielka część dzieci polskich nie byłaby uległa wynarodowieniu, jak to niestety już się stało w wielu polskich rodzinach.

Przypominamy więc rodzicom polskim ten ważny obowiązek, od którego spełnienia zależy przyszłość nasza.

W czasie wakacyjnym rodzice mogąc więcej rozmawiać z dziećmi, mają sposobność pouczyć je w mowie ojczystej, powiedzieć im nazwy drzew, ptaków, których często dzieci nie znają.

W Czytelni dla Kobiet otwartej we wtorki od 8—10 i piątki od 5—7 znajdują się także stosowne książki dla młodzieży — życzymy dzieciom, aby pilnie z nich korzystały i jaknajwiększy odniosły pożytek z wakacyi.

Dzieci będące podczas wakacyi na wsi u krewnych lub dobrodziejów, prosimy o nadesłanie nam listów z opisem wiejskich przyjemności, jakich używają i zajęć, któremi wypełniają wolny czas. Upominamy także usilnie te dzieci, które z łaski osób szlacheckich i liłościwych używają swobody życia wiejskiego, aby starały się o ile tylko mogą wywdzięczyc się swym Dobrodziejom przez skromne zachowanie, posłuszeństwo względem starszych i gotowość do wszelkich usług, jako też pilne czytanie książek polskich, jakich im zechcą udzielić dobroczynni Państwo. Dzieci, które tym sposobem zasłużą sobie na życzliwość swych Dobrodziejów, zachęcą Ich do dalszej dobroczynności i przez to kolonie wakacyjne coraz więcej liczyć będą ofiarodawców i obdarzonych, czego szczerze życzymy wszystkim dzieciom, potrzebującym pomocy i pokrzepienia.

Ogniem i mieczem.

Powieść z lat dawnych

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Nastąpiła chwila ciszy — słychać tylko było chrapanie śpiących i żalosne skrzypienie

świerszcza. Chmielnicki stał przez chwilę z nożem przy piersi Skrzetuskiego, lecz nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upuścił, a natomiast cheiwie wódkę pić począł. Wypił gąsiorek aż do dna i siadł ciężko na ławie. Zasnął po chwili.

Nazajutrz szły pułki do bitwy, na spotkanie z Lachami. Huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń, przez tysiące głosów śpiewana. Chmielnicki nie śpieszył — chciał bowiem, by wojska koronne, pod wodzą młodego Potockiego idące, pograżyły się mocno w step i oddaliły od hetmanów, aby im oni nie mogli pośpieszyć z pomocą. Tymczasem do pułków Chmielnickiego, coraz to nowi przychodzili zbiegowie, nowe siły zaporozkie.

Zbiegowie ci donieśli mu, że siły Stefana Potockiego niewielkie i że semenami dowodzi stary Barabasz i Krzeczowski.

Chmielnicki porwał się na te nazwiska, a gdy się uspokoił, znać było jakieś silne postanowienie na twarzy jego. Wkrótce stanęli Kozacy pod murami Kudaku. Noc była czarna a Chmielnicki sądził, iż łatwo mu przyjdzie wziąć twierdzę, bo choć wiedział, że silna jak granit, liczył jednak, że może jej o tej porze nie pilnują. Lecz nagle błyskawica rozdarła ciemności, huk straszliwy wstrząsnął skalami Dniepru i kula ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie, upadła w trawy stepowe.

Posępny cyklop Grodzicki dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki! — mruknął do Tuhajbeja Chmielnicki, — widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek, o którego wzięciu w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne, nie mogli myśleć — i ruszyli dalej.

Skrzetuski zostawał pod dozorem starego Kozaka, Zachara. Ten polubił go bardzo i pocieszał w niedoli, bo też tęsknota szarpała serce namiestnika a serce się rwało do swoich, do walki.

Krzeczowski, Barabasz i pułkownik najemnej niemieckiej piechoty Flink słyszeli, rozlegające się wśród stepu echo kudackich dział. Dwaj ostatni nawet chcieli pośpieszyć na odsiecz do Kudaku, ale ich powstrzymał od tego zamiaru Krzeczowski, który nad obydwoma miał przewagę i prawie zwierzchnictwo. Najmilszem marzeniem Krzeczowskiego była buława hetmańska, zaszczyty i honory. Układał sobie, że aż nazajutrz pośpieszy do Kudaku i siebie tam u stóp twierdzy sławą okryje i zbawcą się Rzeczypospolitej stanie — Chmielnickiego do nog hetmana rzuci.

Przygotował się ruszyć do fortecy w pomoc — lecz nim do rozprawy przyszło, zawitali Kozacy wysłani do koronnego wojska.

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski prosi na rozmowę swego przyjaciela, pana Krzeczowskiego.

Ten zgodził się na rozmowę, lecz żądał dziesięciu zakładników — a gdy ci nadeszli

— obaj wodzowie długą z sobą toczyli rozmowę, która zakończyła się słowy Chmielnickiego:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Zamiast bitwy nastąpiła zdrada; Krzeczowski ze swymi przeszedł na stronę Chmielnickiego. Barabasz, który na niedołężnego starca wyglądał, urósł nagle w olbrzyma — wolał zginąć, niż zdradzić. Niemiec Flink, honoru wojskowego nie mógł sprzedać, poległ — dotrzymał zobowiązania, bo mu zapłacono za nie, jak tego żądał.

Powiększone wojsko zaporoskie szło teraz ku Żółtym wodom.

Wiść o zdradzie Krzeczowskiego napełniła straszną rozpaczą serce namiestnika. Ale przychodziła mu na myśl potęga całej Rzeczypospolitej, i to go uspokajało — wszak teraz Kozacy znieśli dopiero mały oddział, podjazd prawie. Chmielnicki dążył na spotkanie hetmańskiego syna. Przy młodym Potockim był doświadczony żołnierz, starość żywiecki, pan Stefan Czarnecki. Gdy się przeprawiali przez Żółte Wody, spostrzegł Czarnecki niebezpieczeństwo i skłonił Potockiego do cofnięcia się.

Chmielnickiemu nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nimi. Drugiego dnia, przeprawiwszy się przez topieliska żółtowodzkie, oba wojska stanęły sobie oko w oko. Zaczęto sypać szańce — na niebie chmury nadciągały — puściła się ulewa okropna. Chmielnicki ręce zacierał z radości.

— Niech zozmięknie, nie będę się bał husaryi, gdyż oni w swych ciężkich zbrojach w błocie potoną. A deszcz padał i padał, jakby niebo chciało Zaporozu przyjść w pomoc.

Nad ranem zagrały działa. Skrzetuski prosił Zachara, by go wyprowadził na szaniec, chciał się bowiem bitwie przypa'rzyć.

Siły walczących były nierówne, jednak wojska polskie wciąż w walce były górą. Skrzetuskiemu twarz się śmiała, siły wróciły, oczy wyteżone na błonie strzelały ogniem.

Kozacy pierzchali — Chmielnickiego trwo-ga ogarnęła.

Nazajutrz znowu walka wrzała tak zacięcie, że między dwiema liniami walczących utworzył się, jak gdyby nowy wał — trupów konskich i ludzkich. Co chwila do okopów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziajanych, upadających ze zmęczenia.

Chmielnicki nie mogąc podolać waleczności polskiej husaryi, zwabił i nakłonił dragonów Bałabana do przejścia na swą stronę. I tak obóz polski zdobyto podstępem; — rozpoczęła się rzeź. — Czarnecki i Potocki jako jeńcy dostali się między Kozaków — młody Potocki zaraz ujęty, od ran skonał; Pan Czarnecki ślub czynił nad stygnącym ciałem, że dali mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi obmyje hańbę klęski i przyjaciela. Lecz ani łza nie pociekła po surowem jego obliczu, bo to był rycerz żelazny, wielce już czynami odwagi wsławiony i człowiek żadnem nieszczęściem nieugięty. Jakoż śluby spełnił.

Zwycięstwo to wszakże Chmielnickiemu dużo radości nie sprawiło, lękał się, że hetman srodze pomści śmierć syna swego.

Szedł przez Ukrainę jak wściekły, nie bacząc na nic, a pochód jego znaczyły zgłiszcza i trupy. Szedł jak lawina, niszcząc wszystko po drodze. Szedł jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Piosenki dla naszej dziatwy.

Marsz podczas wycieczki.

Dalej wraz
W piękny czas,
Na przechadzkę w las.
Słońce łśni,
Rosa szkli,
Wszystko wabi nas!
Hurra naprzód!
Hej! wesoły słyhać ptasząt śpiew,
Nie żałujmy dziś mozołu,
Spoczniem w cieniu drzew.
La, la, la, la, la,
La, la, la, la, la, la, la, la,
La, la, la, la,
La, la, la, la, la!

W srebrny ton,
Dźwięczy dzwon,
Ziemię okrył kwiat,
Wdzięczy się,
Cieszy mię,
Cały piękny świat!
Dalej naprzód! pieśń wesołą
Zaspiewajmy w chór,
Niech ją echo poroznosi
Wśród dolin i gór!
La, la, la, la i t. d.

Polska mowa.

Każdy naród swoją mowę
Ponad wszystko czei,
W niej też kształci serce, głowę,
Modli się i śni.

Kto swej mowy nie szanuje,
Ten sam sobie wróg.
Własną duszę w więzy kuje,
Niszczy, co dał Bóg.

Jedną duszę dał Bóg człeku,
Własną jedną z mów,
Te bogaci wiek po wieku
Obfitością słów.

Święta nasza polska mowa
Pełna Bożych słów,
Nią do brata, nią do Boga,
Do każdego mów.

Ladna powiastka o niegrzecznym Frycu i mądrej kotce.

Dawnymi czasy żyła w Księstwie rodzina niemiecka. Była w niej gromadka dzieci większych i małych, grzecznych i niegrzecznych, jak to zwykle bywa.

Najmłodszy z tych dzieci pięcioletni Fryc był wielkim grymaśnikiem. Ciągłe się o coś upominał, a gdy mu czego odmówiono, beczał w niebogłosy.

Ile razy mama rozdawała dzieciom ciasteczka, czekoladę lub owoce, mały Fryc, który jako najmłodszy swoją część dostawał ostatni, obawiając się, iż mama o nim zapomni, wołał z płaczem: „Mir auch, mir auch!”

Była też w tej rodzinie kotka z pięcioma koteczkami. Mile te i figlarne zwierzątka bardzo przez dzieci ulubione przebywały ciągle w pokoju rozweselając wszystkich swymi figlami.

Matka małych kociąt była to już dosyć stara kotka i bardzo mądra, bo sporą już gromadkę kociąt wychowała na dzielne myszołapki.

Słyszac często płacz grymaśnika Fryca i powtarzające się wciąż słowa: „mir auch” uważna kotka zaczęła po swojemu naśladować chłopczyka i cienkim głosem wołać: „mir auch”, co jednakże w jej kociej mowie zamieniło się na miauu. Dzieci śmiały się za każdym razem słyszac to wołanie, a niegreczny Fryc bardzo był zawstydzony.

Wiele już lat upłynęło ale u kotów do dziś panuje zwyczaj powtarzania tego słówka, które stanowi całą mowę kocia.

Ale wy dzieci kochane posiadające mowę tak piękną i bogatą, nie będziecie chyba naśladować niegrzecznego Fryca.

Zagadka.

Pierwsze kipi, jedzie drugie —
Całe z włosów, gdy są długie
U dziewczynki nie chłopczyka
Kto dowcipny niech przenika
I zgadnie tę zagadkę.

Za dobre rozwiązanie wyznaczamy piękną nagrodę.

Rozwiązanie zagadki z ostatniego numeru „Małego Posłańca“:

„O k o”

Trafne rozwiązanie nadesłały nam następujące dzieci: Teresa Rózkowska i Franciszek Kochowicz z Bydgoszczy; Miecia Pogorzałówna z Kruświcy, Halina Brzezińska z Gniezna, Lucya Joachimowska ze Znina i Wandzia Pajzderska z Mroczy.

Nagrodę otrzymał Franciszek Kochowicz z Bydgoszczy.